Tom III. Nr. 17.

11. Grudnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Olbracht,

KRÓL POLSKI.

Po śmierci Kazimierza Jagiellończyka, obrali sobie Polacy za króla syna jego: Jana Olbrachta.

Nie długie były to rządy pod tym panem, i nie bardzo szczęśliwe dla naszej Polski. A to ztąd poszło, że Jan Olbracht wziął sobie za przyjaciela jednego cudzoziemca, i tego we wszystkiem słuchał; choć to jak Bóg Bogiem, nigdy cudzoziemiec nie potrafi zgadnąć, coby trzeba zrobić, aby dla nas było lepiej. Tak też trafiło się i za onych czasów.

Na południe od nas, w sąsiedztwie Węgrów a owego kraju, gdzie Turcy mieszkają, jest ziemia zwana Wołoską, czyli Multany. Ludzie w tej ziemi, Wołochy, rządzili się z dawien dawna sami, i mieli sobie swojego pana, co go zwali *hospodarem*. Kraj to piękny i urodzajny, aleć wtedy był jeszcze dosyć dziki, i nieraz tam Turcy Wołochom bruździli, bo tak się to zwykle na świecie wydarza: kto mocniejszy, to słabszego grabi i w

pierze mu porosnąć nie da, choć to krzywda, i Pan Bóg takiej sprawie nie błogosławi.

Owóż trafiło się, że nasz król zaczął się radzić ze swoim przyjacielem, czy by też nie można napaść na Wołochów; jako że chciał tam posadzić młodszego brata swojego, Zygmunta, na księcia.

— A to nie źle będzie — ozwał się przyjaciel królewski — bo będziesz miał brata i przyjaciela pod ręką na innych wrogów ojczyzny.

Aliści nie oglądnął się nasz król na to, że napaść na cudzą ziemię i dać ją drugiemu, to tyle znaczy, co kradzież albo rabunek. Bo Pan Bóg chce, żeby każdy siedział, gdzie On go posadził, i rządził się tam według własnej woli, a drugiego nie napastował.

Jakoż nie przyszło to na myśl Olbrachtowi, więc rozesłał ludzi po całej Polsce, żeby się wszystko co żyje, gotowało do ogromnej wojny z Wołochami. Nie za długo też zebrało się wojsko pode Lwowem, a była tego wielka siła, bo ażośmdziesiąt tysięcy.

Skoro się o tem dowiedział hospodar wołoski Stefan, takci zaraz wysłał kilku ludzi do naszego króla, i prosił, żeby też król nie szedł na Wołochów swoich braci chrześcijanów, a lepiej uderzył na poganina Turka. I po słuszności prosił o to hospodar; ale zapamiętały Olbracht nie chciał tego ani słuchać, jeno ruszył z całem wojskiem do Multan.

Tak więc szli nasi górami, i szli lasami, aż wreszcie stanęli na Wołoszczyźnie. Wołochy, jako że naród mały, nie mieli zkąd postawić takiego wielkiego wojska, coby się z naszymi do bitwy zabrało; więc też nie stawali naszym w drodze, jeno uciekali w niedostępne góry i niezmierne lasy.

Tym-ci gorzej było to dla polskiego wojska. Wołochy zbierali się po lasach po kilkanaście i kilkadziesiąt chłopa, i z poza drzew albo krzaków strzelali na naszych wojowników; a jak nasi chcieli uderzyć na ową garstkę nieprzyjaciela: oho, to jeno się migło, i szukaj-że ich po ogromnym lesie!

Takim to skrytym sposobem trapili Wołosi nasze wojsko. Jakoż zginęło marnie siła Polaków, a owym nic nie było, bo się zawsze na czas schowali. Ha zobaczył Olbrach po niewczasie, że nie da rady, więc też pogodził się ze Stefanem i kazał nawracać do domu.

Były z tamtąd dwie drogi do polskiej ziemi: jedna polami, dobra i równa, ale zato długa, zaś druga o wiele krótsza, przez niezmierne lasy bukowe, co się zwały *Bukowina*. Spieszno było naszym do domu, jakoż nie namyślali się długo, jeno ruszyli na lasy.

Jadą nasi i jadą, a Pana Boga chwalą, że choć tylko na tem się skończyło. Wjechali wreszcie do lasu, jadą lasem, aż tu nagle zaczęły się walić na nich buki, drzewa rosłe i ciężkie. Zrobił się okropny krzyk i lament; a tu drzewa się walą, gnietą ludzi i koni jak mrówki, a z za drzew wyskakują Wołochy i dobijają resztę, co żywe. Po niewczasie spostrzegli się nasi, że to zdrada, bo Wołochy popodcinali drzewa w lesie nad drogą, a potem zaczęli obalać na wojsko. Nie było sposobu bronić się w gęstwinie, jakoż kto tylko mógł, to uciekał i ratował życie.

Oj, zginęło tam siła naszych taką haniebną śmiercią: Młode i tęgie chłopy, a że to wtedy jeno sama szlachta chodziła na wojnę, więc sobie ludzie spiewali potem:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta.

Zasmucił się król strasznie tą wojną, bo mu każdy jeno wyrzucał, co się tyle złego narobiło; a wszystko to była kara Boża na niego, że chciał bez niejakiej przyczyny wojować Wołochów. Jakoż zaczął Olbracht pić na ten frasunek, a po ośmiu latach całego panowania rozchorzał się, i umarł w tym żalu i smutku.

*

ZIMA.

Hej nago, chłodno,
I nic już nie ma.
Mroźna pogoda,
Nadeszła zima.

Jak brylantowe
Drzewa się świecą,
Pyłki srebrzyste
W powietrzu lecą.

Zamarzły wody,
Białe zagony,
Po drodze głodne
Włóczą się wrony.

Śniegi ubite
Pod nogą skrzypią;
A wiatry szczypią
Lice odkryte.

Więc się na komin
Drzewa nakłada
I z starą księgą
Przed ogniem siada.

T. L.

Jakim sposobem Mruwiak przyszedł po rozum do głowy?

Owóż co się dalej z Mruwiakami stało.

Skoro się z kumą i ze znajomą kobietą wygramolili z miasta, tak potem podyrdali gościńcem i nie oparli się, aż w pierwszej karczmie. Napiwszy się piwa, bo już do wódki jakoś nie mieli ochoty, z fantazyą, ze śpiewaniem, ruszyli dalej w drogę, ale że szkapska strasznie były zbiedzone, więc wlekły się jakby nie na swoich nogach. Mruwiak gniewał się, wykręcał batem, szarpał lejcami, nawet już nie biczem, ale biczyskiem walił szkapy przy kłębie, że aż żebra chrobotały, ale wszystko to nie pomagało, i wóz wlókł się jak ze słomą. Pawłom wprawdzie jak i kumowi nic to nie zawadziło, bo jak półkwaterek w głowie, to język jak pytel, ale znajomej kobiecie trzeźwej zupełnie, strasznie zaczęło się markocić, i widać miarkując że na

piechotę prędzejby zaszła, pociągnęła Pawła za rękaw i rzekła z dąsaniem:

— Stańcie-no Pawle, bo zejdę z woza i pójdę piechotą.

— A wam co w głowie? siedźcie, kiedy wam dobrze.

— Ale, dobrze jak dobrze, ale jak się tak będziemy wlekli, to się i na jutro nie zawleczemy.

— A cóż to nie końmi jedziemy?

— Ej, jakie ta konie? — mruknęła kobieta, i zaczęła się gramolić do wyjścia, ale ją przytrzymała Pawłowa i rzekła:

— Moiściewy kochani, zostańcie, zostańcie, Paweł przyspieszy.

— Ale, przyspieszy nie wiem czem.

— Co nie przyspieszę? — odrzekł Paweł wykręcając biczem — czekajcie, tylko przyjdzie z góry.

— Tak, i wywalicie nas gdzie do rowu.

— Albo to prawda? cóż to? czy ja nie parobek? — i przy tych słowach zaczął śpiewać, a Pawłowa mu dopomagała; ale na inną nutę i innemi słowami.

Parobeczek ci ja,
I zgrabny i młody,
Bóg mi nie poskąpił,
Jak kwiatek urody.

Pawłowa zaś śpiewała:

Kozioł brodą trzęsie,
A koza podryga,
My jedziem śpiewając
Aż się w oczach miga.

— Oj, miga się, miga — wzdychając odezwała się kobieta — jak dzieciakowi w kolebce, co fajta nogami a zdaje mu się, że pędzi co tylko siły.

— Ot, już na górce jesteśmy, trzymajta się baby — zawołał w tej chwili Paweł, i dalej-że batem po szkapach. Wóz zaczął się spuszczać, a że góra dosyć była przykra, więc wkrótce i wóz i konie, bo orczyki tłukły je po nogach, zaczęły pędzić na złamanie karku.

— Jezus Marya! — zawołała kobieta z ogromnym przestrachem — Pawle! bójcie się Boga, ostrożnie.

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie — odrzekł Paweł smagając konie i zaczął śpiewać: oj, da dana, dana, dana.

Pawłowa chąc się także ochotną okazać, i jakoś tem dodać śmiałości znajomej a ciągle krzyczącej z przestrachu sąsiadce również rozpoczęła śpiewanie, ale zaledwie wywiodła:

Hop, hop, po krakowsku,
Hu, ha! po.....

wóz nagle uderzył o kamień poślednierni kołami, wybiegł na grębę, nachylił się, kobiety wrzasnęły, jakby je kto ze skóry obdzierał: Jezus, Marya! i w okamgnieniu wóz cały z garnkami, z kaszą, z końmi i ludźmi, wpadł w dół wybrany na glinę, co był pełny deszczowej wody, a porośnięty z drugiej strony kolącą tarniną.

— Hu, ha! — krzyczał Paweł, lecąc powietrzem do góry nogami wprost na tarninę, bo pijany nic nie pyta, wszystko mu po równości.

— Co ty Paweł wyrabiasz — wrzeszczała żona, i chlap w wodę. Za nią kum, a potem garnki z kaszą, że tylko plusło, stękło i chrobotnęło się. Kobietę zaś tak podrzuciło, że aż przeleciała w dół za tarninę, utknęła głową w piasku, potem przewróciła kozła jak małe dziecko, kiedy figluje na murawie, i zaczęła wrzeszczeć z całego gardła:

— Aj, dali też chleba, dali, dali, a prosiłam, a mówiłam, a mój Jezu kochany! a moje garnki!

— Jaguś, a kajżeś ty — gramoląc się, mruczał Paweł — pomóż no, bo ta tarnina tak mi się w kudłach na łbie poplątała, że sobie nijakiej nie mogę dać rady.

— O, dla Boga, o Jezus! — wrzeszczała Pawłowa — ratujta, bo kum mnie chyba uduszą. A ruszcież się przecie, czyście nie żywi?

— A kiedy wstać nie mogę — mruknął dworski, siedząc na plecach Pawłowej jak na stołku — co ruszę nogami, to mi się w glinie obślizgują. Kumie! poratujcie.

— Ale, poratujcie — odrzekł na to Mruwiak — kiedy tarnina tak mnie za łeb trzyma, że ani troszkę nie chce popuścić.

— Namknijcie się kumie — stękała Pawłowa — już tchu złapać nie mogę.

— A na którą stronę mam się namknąć? — wybełkotał ledwo dworski, zawsze siedząc na plecach Pawłowej — kiedy w kolusko woda.

— Czyście wy oszaleli, czy co? — wysapała Pawłowa — siadł se jak na ławie, i kontent, że mu sucho, kiedy ja po pas ubabrana w kałuży. Namknijcie się, bo wam naklnę, i powiem jakie przykre słowo.

— Klnijcie, nie klnijcie, to mnie wszystko wraz, a ja co się nie namknę, to się nie umknę, co mi za niewola!

— Pawle! a chodź-no tu do tego pijaka.

— Co, ja pijak? ja pijak? — wrzasnął dworski z największą złością — to ty pijak, ty pijak — i przy tych słowach, myśląc, że siedzi około stołu, bęcnął pięścią w plecy Pawłowej.

— A jaj, a jaj! Jezus, Marya! — zaczęła wrzeszczeć Pawłowa — kto żyje, niech ratuje, bo ten pijak zabije mnie, Pawle, Pawle!

— Zaraz, zaraz, już em z jednej strony oderwał czuprynę, poczekaj, wnet się sprawię.

I gdy znajoma Pawłów płacze nad garnkami, Paweł wydziera czuprynę z tarniny, a Pawłowa wrzeszczy w niebogłosy, dworski ciągle bęca ją po plecach i mówi: — ja nie pijak, nie pijak, po co mnie ma kto taką rzecz zadawać? Ja nie pijak. Że zaś wszyscy troje tęgo byli spici, więc pewno nie daliby sobie rady, ale gdy zaczęli się kłócić i wywodzić na siebie różne wymysły, a Pawłowa coraz chrapliwiej krzyczeć, jakby ją co dławiło, tak podniosła się sąsiada Pawłów, dworskiego wywlekła na grębę, Pawłowę dźwignęła, a Pawła wymotała z tarniny. Jak tylko Paweł poczuł się na nogach, naraz obcesem ruszył na kuma, i pewno przyszłoby do bitwy, bo Paweł aże dygotał ze złości, ale na szczęście, przy samym dworskim kiedy go chciał złapać za czuprynę, zawadził o kamień, brzdęknął jak długi, i leżąc zaczął dopiero wybijać nogami i wytrząsać pięściami, niby z odgróżkami na kuma.

A tu zaczęło się ciemnić, chmury na niebie zachodziły, tak kobiety widząc, że sobie z pijanymi żadnej nie mogą dać rady,

jak nie uderzą w płacz i lamentacye, to aż się po rosie zaczęło rozlegać na wszystkie strony.

Na szczęście niedaleko dworscy parobcy paśli woły. Usłyszawszy więc płacz ludzki w odludnem polu, przyszli, wóz wywlekli na drogę, powsadzali pijanych, i Mruwiak na pół spiący, podrapany, pokrwawiony, ruszył dalej, ale już nie z fantazją i nie z rezonem. Rozgadek zatem na wozie nie było żadnych, dworski chrapał jak pod pierzyną, a Pawłowie coś najprzód pomrukiwali do siebie, a potem pozwieszali głowy i pousypiali.

Sama więc owa sąsiada, jako trzeźwa, doprowadziła wóz do domu wzdychając ciągle za garnkami, z których skorupy pozostały w polu. —

Na drugi dzień po owem nieszczęściu, było już słonko wysoko, kiedy się Mruwiakowie popodnosili z posłania. Wyglądali oboje jak nie Boskie stworzenia: Paweł był pokrwawiony, zapuchnięty, a Pawłowa unurzana w błocie i oboje trzymali się za głowy.

— Jaguś — odezwał się pierwszy Paweł — a chodź-no moje dziecko, bo nie wiem czy urok, czy jakie nasłanie, dosyć że cosić mi oczy zasłoniło i mało co widzę.

— Daj mi ta pokój — odrzekła Pawłowa — ja ledwo ruszać się mogę, co mnie tak kum zgnietli i nabęcali się po plecach, kiedyśmy się przewrócili.

— A to czyste urzeczenie — odezwał się znowu Paweł — włosisków z głowy cosić mi nadarło, pokrwawiło, podrapało, jakby ta w największej bijatyce.

— Oj, bijatyka to była, bijatyka — jęknęła Pawłowa — ale w rowie do góry nogami, kiedy nas przewróciłeś.

— O! i z tego by?

— A i z czegóż innego?

— No, no — pokręcając głową mruknął Paweł — orzeczenie i jużcić.

I byłby Paweł dalej wywodził narzekania na urzeczenie, ale w tej chwili Pawłowa obszukując ciągle koło siebie, krzyknęła wielkim głosem, trzymając w ręku próżną chustkę, w której miała zawiązane pieniądze:

— Jezus, Marya! pieniądze nam zginęły!

Paweł skoczył jak oparzony, i dalej krentu wentu, to po kieszeniach, to po izbie, wybiegł i na dwór, przeszukał słomę na wozie, przerzucił wszystkie rupiecie, ale nigdzie pieniędzy ani śladu; przepadły jak kamień w wodę. Ruszył potem do miejsca gdzie się przewrócili, ale zastał tylko garnki potłuczone, rozsypaną kaszę, troszkę słomy rozbabranej błotem, troszkę włosów z własnej czupryny na tarninie, ale z pieniędzy ani grosiczka. Nuż więc Pawłowa lamentować, rwać włosy na głowie, bić pięściami, a Paweł wzdychać i skrobać się po głowie. Ale wszystko to nic nie nadało. Więc jak też w zmartwieniu troszkę się pospokoili, jak Pawłowa nie zacznie po Pawle z językiem jechać, i wydziwiać i wymawiać, i wykrzykiwać; jak znów Paweł, gdy mu brakło cierpliwości, nie zacznie się odgryzać; tak od słów poszło naprzód do odgróżek, potem do wytrząsania pięści, a w końcu zerwał się Paweł, chwycił za maglownicę i zamierzywszy się, już miał lunąć żonę przez głowę, nie pytając że może ją okaleczyć albo nawet zabić, lecz na szczęście otworzyły się drzwi i wszedł brat starszy Mruwiaka, Stanisław, bardzo uczciwy i spokojny człowiek, a służący we dworze za polowego. Paweł więc odrzucił maglownicę, zaczął sapać a Pawłowa załamując ręce poskoczyła do Stanisława, wołając:

— Bóg was zesłał mój bracie, a dyć ten pijaczysko chciał mnie zabić, nie dajcie mnie, nie dajcie.

— A tu co się dzieje? — zapytał zadziwiony Stanisław — Ty bracie pokaleczony, zapuchnięty, rozmamrany, wy znowu siostro zawalani błotem, co to wszystko znaczy?

Z płaczem, lamentem i krzykiem, Pawłowa wszystko opowiedziała bratu, a gdy wywiodła sprawę o zgubione pieniądze, i że z tego przyszło do wielkiej zwady, bo jedno na drugie zgubę składało, tak Stanisław wysłuchawszy wszystkiego cierpliwie, rzekł:

— Moi kochani, obojeście winni, a więcej brat jak wy siostro, bo brat jest chłop, a wy przecie białogłowa, toć i zawsze więcej od was powinien mieć rozumu. Jużem

wam dawno mówił, że należy wam się ustatkować, nie latać po chrzcinach, po weselach i jarmarkach; ale siedzieć w domu i pilnować roboty, bo gospodarz na dorobku powinien na drągu sypiać a szydłem jeść kaszę.

— Ej, mój bracie — odrzekł na to Paweł — inni lepiej se we wszystkiem jak my pozwalają, a również niczego im nie brak, a ja czego się chwycę, to mi wszystko nie idzie za ręką.

— Mój bracie, według stawu powinna być grobla. Kogo stać, niech sobie wygody nie żałuje, bo człowiek nie na to zabiega i pracuje, żeby zbierał i tylko grosz dusił, ale żeby go miał na wszelki ratunek w jakim wypadku, i żeby mógł coraz lepiej i wygodniej żyć na świecie. Kogo więc stać, niech sobie nie żałuje ani zabawy ani poczciwego dojadku aby tylko z rozumem i z poszanowaniem daru Bożego. Kogo nie stać i kto na dorobku, niech oszczędza, w zabawy niech się bardzo nie wdaje, a brzuch niech ściąga pasem, bo on łatwy do rozbrykania.

— Oj, nie brykam ja tam z moim, nie brykam — mruknął Paweł z westchnieniem — a na przednowku to mną wiatr tak wieje jak osieczyną.

— I temu samiście winni, bo jak z nowego, to se niczego nie żałujecie a tu trzeba dzielić po równości, żeby wystarczyło na cały rok, i jeszcze żeby na jaką biedę zostało.

— Ej, co ta bajecie — odrzekł na to troszkę z gniewem Paweł — przecieć nie hultaję, w karczmie nie przepijam, a że ta czasem człowiek zabawi się z przyjacielem, toć i wy nie święci mój bracie. Gadajcie wy swoje, a ja będę zawsze swoje, że co mi się tak nie wiedzie, i co rok to gorsza bieda, a teraz to już chyba wypadnie rzucić gospodarstwo, wychodzi z niczego innego, tylko z urzeczenia ludzkiego i jużci.

— Z urzeczenia, z urzeczenia — dołożyła Pawłowa, i nuż wzdychać i kręcić głową.

— Ej, gadacie tak — odezwał się na to Stanisław — bo wam tak wypada, żeby choć tem zasłonić się przed ludźmi i przed sobą. Ale mój bracie, powiem ci po przyjaźni, że już mało takich głupich na świecie, coby w urzeczenie wierzyli.

— A więc cóż takiego? — zapytali oboje Pawłowie — cóż takiego? gadajcie.

— Co takiego? oto nierząd i bałamuctwo za domem.

— Nie bajcie, nie bajcie — odrzekli z gniewem Pawłowie — że się pojedzie na jarmark po interesie, albo usłuży czasem ludziom w kumy lub przy weselu, to przecieć na to tysiąców się nie traci.

— Mój bracie, ziarnko do ziarnka zbierze się miarka, grosz do grosza będzie cwancygier. Tak też i z wami, na raz wiele nie wydajecie, ale choć po trochu, to często. Na ten przykład w tym roku od nowego, byliście coś z ośm razy na jarmarku, porachować mitręgę waszą i bydlęcia, i z tem co stracicie w mieście, to już najmniej jedno bycie wypada liczyć na reńskiego. To razem czyni ośm reńskich. Byliście przytem pięć razy w kumy i na weselach, to wam zjadło czasu najmniej piętnaście dni, więc rachować choćby z wydatkiem po cwancygierze dzień, to uczyni pięć reńskich, a ośm to trzynaście.

— Ej, mój bracie — mruknął Paweł — ale mu nie dał mówić Stanisław, i zaraz rzekł:

— Nie przerywajcie, niech skończę, potem wy mówić będziecie. Więc trzynaście reńskich najmniej mieliście w tym roku straty, nie licząc w to zguby pieniędzy na wczorajszym jarmarku. Jeżeli jeszcze zważycie, że jak gospodarza nie ma w domu, to zawsze prędsza szkoda, bo wtedy nie tylko człowiek, ale i zwierz jakoś śmielszy; że przy takiem gospodarstwie zapożyczaliście się zawsze na przednowku, i płaciliście w dubelt prowizyą: to na pewniaka strata przez taką bałamutkę w prowizyi i w szkodzie domowej, drugie tyle najmniej wyniosła, jeżeli nie więcej. Strata więc cała czyni ze trzydzieści reńskich, a że lat cztery, jak jesteście na gospodarstwie, więc summę tę dodajcie cztery razy, to uczyni razem stodwadzieścia reńskich w srebrze. Patrzcie więc, coście to pieniędzy stracili? Gdyby były teraz, to by się pono przydały; a byłyby, żeby tylko więcej było statku i mądrego rozrachunku.

— Ej, mój bracie, tak gadacie do nas, jak do maluśkich dzieci, bo wszystko może być z prawdą waszą, ale w domu, to co człowiek może mieć za stratę?

— Jaką stratę? zaraz wam pokażę — i to rzekłszy Stanisław, usunął poły od kapoty i pokazał im gęsi nieżywe uwiązane za łby na sznurku.

— A to co? — zapytał.

— Co to? moje gęsi — wrzasnęła Pawłowa — a któż to mnie tak skrzywdził?

— Wasze bałamuctwo, bo jeździliście raz po raz na jarmarki, gęsi nie miał kto pilnować, więc chodziły w jęczmień Marcina, a że nie mógł im żadnym sposobem dać rady, bo co wygnał, to znów wlazły, tak zgniewał się, pozabijał i powiedział, że was jeszcze do wójta poskarży.

Co się po takiem powiedzeniu Stanisława działo w izbie, to łatwo każdy pomiarkuje, bo Mruwiakowie poznali, że przez jeden dzień stracili pieniądze wzięte za wiśniochę, i gęsi, i że teraz z całego gospodarstwa została im tylko ślepa włogawa szkapa, z której lada chwila kości będą się bielić w parowie. A tu jeszcze długów po uszy, i dwa tygodnie do nowego.

Piekła więc było w domu co niemiara, Pawłowa łamała ręce, zanosiła się płaczem i wrzeszczała jak opętana, a Paweł zwiesił głowę i milczał smutnie, jakby mu kto nogi poobcinał. Na taką w chałupie wrzawę zaczęli się schodzić ludzie ze wsi, ale jak się dowiedziano o co tu idzie, tak każdy potrząsł tylko głową, bo nie było jednego gospodarza, któremuby albo gęsi, albo koń lub krowa Pawłów nie weszły w szkodę, i odchodząc pomyślał sobie w duszy:

— Dobrze mu tak, bo teraz dopiero przyjdzie do rozumu i nauczy się, jak to należy szanować pracę ludzką. Jak poszedł cztery lata temu na gospodarstwo, to niczego mu nie brakowało, ale bałamuctwo zjadło wszystko, bo bałamuctwo chleba nie sporzy. Przez cztery lata weselił się i jarmarczył, niechże teraz trochę popłacze. Bieda choć boli, ale uczy rozumu.

I mieli ludzie racyą, bo gdy przed wieczorem Pawłowie cokolwiek się uspokoili, Paweł, co przez cały dzień myślał tylko o tem, jakby się w biedzie ratować, przysunął się do żony i rzekł:

— Moje dziecko, co się stało, to już trudno, temu nie poradzimy. Straciło się wszystko, cośmy mieli, ale Bóg zostawił

nam zdrowie, przy pomocy więc Boskiej dorobimy się chleba, aby tylko ochoty nie brakło do pracy i statku. Bo to, moje dziecko, jak teraz wymiarkowałem, nie urzeczenie żadne, że się nam tak nie poszykowało, ale nasze złe na wszystko patrzenie. Przez jarmark ostatni straciliśmy resztę, co było do ratunku; zabawiło się bo zabawiło...

— Ej, bogać ta się zabawiło — przerwała Pawłowa — ty wyglądasz jak jakie straszydło, a ja przez kuma pochrobotana, że ledwo się ruszam. Piękne mi zabawienie.

— No, no, moje dziecko, wyleczemy się i nawet śladu z tego nie zostanie, ale choć kości bolą, to przyszedłem do rozumu, bo poznałem, że częstowanie ludzi, niby ze szczerości, na nic się nie przyda. Ludzie zjedzą, wypiją, kiedy się ich prosi, a potem nieskorzy ratować, jak to teraz z nami się stało. Bogiem jednak a prawdą, ludzie w tem nie winowaci, bo jeno śmiać się z człeka, co sam kładzie palec w ogień nie z przymusu, tylko z własnej ochoty, i potem płacze, że się sparzył.

— A i do czegóż to wszystko prowadzisz? — zapytała troszkę z gniewem Pawłowa.

— Do tego, moja Jaguś, że teraz o wszystkiem trzeba zabaczyć, a pamiętać tylko o pracy i statkowaniu.

— Dobrze to mówić, ale bez poratunku jakiego nie damy sobie rady, i na gospodarstwie się nie utrzymamy. Do dworu z proszeniem nie pójdę, bo kilka razy com była, to dziedzic tak się na mnie nawydziwiał, żeśmy próżniaki, bałowniki, że już nie mam do tego ani ochoty ani śmiałości.

— Właśnie, moja Jaguś, że pójdę do dworu, i jak wyznam wszystko szczerze, to dziedzic dobrze wymiarkuje i pozna, że się chcemy ratować, i prędzej poratuje, jak kto inny. Dziedzic wywoływał na nas od próżniaków i bałowników, a bo, moje dziecko, powiem szczerze, bo nas tu nikt nie słyszy, że miał prawdę za sobą. Bałowało się i mitrężyło, ale teraz nie głupim, chwycę się pracy, a nim grosz wydam, to go wprzód dziesięć razy obejrzę.

— Ja szła za tobą, a jeżeli w tem wszystkiem głupi był rozum, to twoja a nie moja wina.

— Moje dziecko, obojeśmy winni — odrzekł na to Paweł — ja trochę więcej a ty mniej, bo u kobiety długie włosy a rozum krótki.

— No, no, kiedyś taki mądrala — odezwała się z urazą Pawłowa — to radź-że sobie sam, ja się do niczego mięszać nie będę, bo powiadasz, że mam rozum krótki.

— Nie gniewaj się, moja Jaguś.

— A pocóż mię obwołujesz za głupią?

— No, to wybacz, moje dziecko, bo we frasunku człowiek bierze pierwsze słowo, co znajdzie na podorędziu. Więc wybacz, ale pamiętaj, że mąż i żona, to jak, nieprzymierzając, para koni w wozie, co jak jeden ciągnie, a drugi tylko fika i ogląda się, to i wóz w miejscu stoi, i zaprząg się psuje, i ten koń co ciągnie po próżnicy, męczy się i niszczeje. Więc i w małżeństwie zarówno powinniśmy pracować, oszczędzać i zarówno sobie radzić.

— No, no — odezwała się na to Pawłowa pokręcając głową — nie wiem kto cię to tak gadać nauczył, jakby w kościele na kazaniu?

— Dziedzic, moje dziecko, jakem był u niego i prosił o zapomogę.

— No, i dał? — zapytała spiesznie Pawłowa.

— Dał, dał, ale co się nawywodził przytem poczciwego słowa, to ażem się spłakał, i wyprzysiągłem się wszelkiego bałamuctwa i mitrężenia raz na całe życie.

Na tem skończyła się między Pawłami rozmowa. Paweł potem, jak przyrzekł dziedzicowi, tak się sprawiał. W czas wolny nigdy nie mitrężył, ale szedł na zarobek; na jarmarki lub targi zaledwie dwa lub trzy razy wyjeżdżał do roku, a skoro się sprawił, to zaraz trzeźwo wracał do domu: zaś na chrzciny lub wesela szedł tylko za wielkiem uproszeniem. Tak się obrządzając, we dwa lata potem, wypłacił się Paweł ze wszystkich długów, przyszedł do dobytku, w rok potem zaczął ciułać grosze, a dziś liczy się już do najbogatszych we wsi gospodarzy, i każdemu powiada, szczególniej młodym, co to u nich wszystko aby dziś, że:

Statek i praca, ludzi zbogaca,
A starunek niszczy frasunek. (*Km.*)

Gospodarska pogadanka.

Było to na wiosnę. Stary Stanisław stał sobie wedle domu, nachylał się i wyplatał płot porządnie, jak się patrzy. Słonko ledwo co się pokazało, a poranek był śliczny. Polową drogą szedł Wasyl i dźwigał na plecach wór żyta do zasiewu.

Skoro Wasyl zrównał się już z zagrodą Stanisława, przystanął, postawił wór na ziemi, a pochwalił Pana Boga, i puścił się ze starym w gawędkę.

Wasyl. Cóż wy to robicie, mój kumie? A toć widzę wielkie odmiany u was.

Stanisław. Ot, grodzę sobie, aby było kawałek ziemi pod jarzyny dla kobiety.

W. Oj, szkoda waszej pracy Stanisławie! Płot wam rozkradną, a kury się wam rozsiędą na grzędach, i zepsują wszystko, co zrobicie.

S. Że wy też to zawsze gadacie, ot tak byle gadać! Wam się zdaje, że to każdy człowiek złodziej, a toć przecie widzicie, że nam się drzewka ostały, cośmy wedle drogi posadzili. Przeciw kurom będzie płot, a jakby chciały przelatywać, to im się skrzydeł po trosze poucina.

W. Ta jużci że można.

S. Widzieliście jeszcze wczoraj rano, co tu było kamieni, gnoju, chwastu i zielsk; a dzisiaj wszystko już jakby wymiótł. A spojrzyjcie-no z drugiej strony chałupy, jak tam wygląda: Na gnój wykopałem dół, zrobiłem spust na gnojówkę od chlewka i obory, a śmiecie i zielska zesypałem także do tego.

W. A no, widzę, porządnie wygląda.

S. Patrzajcież, mój kumie! Zeszłego lata zachodziły do chałupy różne chorobiska. Kobieta miała zimnicę, dzieci jakieś krosty, a i ja sam nie byłem zdrów, jak się patrzy. Nie z czego-to innego, jeno ztąd, że gnój i śmiecie walały się po całem podwórzu: to pod drzwiami, to pod oknami, i smród był ciągle wedle chałupy; zgoła tak samo, jak u was jeszcze dzisiaj. Teraz czysto jest na około i powietrze zdrowe; a co to będzie mierzwy w dole, jak śmieciska i zielsko przegnije!

W. A prawda, wy zawsze co zrobicie, to mądrze.

S. Ho, ho, to nie koniec na tem, mój bratku! Jak płot pięknie wyplotę, wtedy sobie głęboko skopię cały ogródek, pacyny porozkruszam, a potem dziury zasypię rumowiskiem, i przywiezę ze rzeki z pięć furek mułu, a całą ziemię dobrze wymięszam i wygrabię.

W. Oj, to coś dużo roboty, mój kumie.

S. Ba, a jakżeście chcieli? *Bez pracy nie będzie kołaczy.* Zresztą i praca nie wielka na pożytek, co z tego będzie. Otóż mój kumie, zrobię sobie kelka grządek dosyć szerokich. Środkiem posieję ogórki, z jednej strony szczypiorku na cebulę, a z drugiej sałatę. Pod samem oknem zostawię grządeczkę na kwiaty dla dziewuszek; bo to i pięknie, kiedy się co czerwieni w ogródku, a dziewusze uciecha. Na grządki będę dawał pozór: podleję, kiedy będzie sucho, a dzieciom każę chwast wyplewić, choć ze trzy razy do lata. Zobaczycie, jakie to będą ogórki i co za sałata! Kobieta poniesie do miasta, i będzie kilkanaście cwancygierków na własny użytek w domu.

W. Mój Stanisławie, kto was tego wszystkiego wyuczył?

S. Widzicie, mój kumie, człowiek się przypatrywał, jak inni robią, i zmiarkował sobie powoli. Mówiłem ja wam już, że to grzech nie chodzić koło ziemi, jak ją kto ma; a bodaj z takiego kawałątka, co kapeluszem nakryć, to można mieć pożytek. I ja też w moim ogródku nic nie chcę stracić. Więc też pod samym płotem chruścianym nasadzę sobie pestek z dobrej bani. Jak się łęty puszczą, to je na płot wyprowadzę, i będzie pięknie wedle domu, a dla dzieci potrawa i znowu parę cwancygierów. Między baniami zasieję wielkich buraków i chrzanu, bo to starania dużo nie potrzebuje. A da Bóg doczekać na bezrok, to sobie pod samą ścianą od chałupy zasadzę kilka gałązek z winnej macicy. Słońce od południa dogrzewa, to się może i udać; a będą winogrona, bodaj do dworu na podarunek.

W. Mój Stanisławie, to i ja tak chyba zrobię.

S. A zróbcie: jeno musicie wcześniej się dźwigać. Ja wysiałem już wszystko w polu, to mogę.

W. Ja też dziś resztę wysieję, a jutro wezmę się do ogródka. Zostańcie z Bogiem.

S. Bywajcie zdrowi!

Wasyl jak obiecał, tak sobie też i urządził ogródek przed chałupą, i mieli potem ze Stanisławem wielki z tego pożytek.

Zdania z pisma świętego.

Kto strzeże ust swoich, strzeże duszy swojej; lecz kto nierozmyślny jest ku mówieniu, poczuje szkody. — Kto czyni krzywdę ubogiemu, urąga Stworzycielowi jego, a czci go, kto ma zmiłowanie nad ubogim. — Kto się kocha w używaniu, w niedostatku będzie; kto miłuje wino i tłuste kąski, nie zbogaci się.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**